Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



„Leda" przy szóstaku. Fot. A. Gaponow

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 41 (696) 8 PAŹDZIERNIKA 1932 R.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na IV kwartał lub miesiąc październik.

Zawiadamiamy jednocześnie, że numery reklamowane (z powodu nieotrzymania) wysyłać będziemy przy ekspedycji najbliższego numeru po otrzymaniu reklamacji.



Aport. Fot. A. Gaponow.

JESZCZE O PAPIERZE I KNIEI.

Nie tak dawno poruszyłem na łamach „Łowca Polskiego" kwestję niewspółmierności pewnego fragmentu naszej ustawy łowieckiej z życiem realnem *). Wskazałem wówczas, że wielce mądra, teoretycznie pożyteczna i naukowo współczesna ochrona ptaków drapieżnych, jaką wprowadziło nasze prawo łowieckie z r. 1927, jest jednak ochroną papierową, bo mimo że upłynęło już prawie pięć lat od dnia wejścia w życie tego prawa, to jednak po dziś dzień nietylko przeciętny „brat - myśliwy", lecz nawet myśliwy - przyrodnik i t. zw. myśliwy ideowy wzruszają ramionami lub otwierają szeroko oczy ze zdziwienia, gdy się im mówi, że w okresie od 1 lutego do 15 sierpnia strzał do sowy, gołębiarza, orła, kawki i t. p. jest brzemiennem w skutki wykroczeniem administracyjnem!

Już po wydrukowaniu tego artykułu zaszedł fakt drobny, który stał się znakomitą, nawskroś życiową ilustracją mych twierdzeń. Oto latem r. b. szereg pism codziennych zamieścił wiadomość o zabiciu (w czasie przed 15 sierpnia) rzadkiego okazu sępa płowego. Prasa fachowo - łowiecka z „Łowcem Polskim" na czele powtórzyła tę wiadomość zamieszczając fotografję ubitego egzemplarza. Cały fakt został potraktowany przez prasę łowiecką, jako wypadek doniosły z ornitologicznego punktu widzenia. I tyle... I jakoś nikomu (z jednym jedynym wyjątkiem) nie przyszło do głowy, że fakt ten — być może bardzo cenny i pożyteczny dla nauki — jest jednak, biorąc rzecz formalnie, przestępstwem karalnem w myśl art. 77 p. 3 prawa łowieckiego. Pisząc słowa powyższe bynajmniej nie chcę domagać się kary administracyjnej na myśliwego, któremu się poszczęściło zdobyć rzadki okaz sępa; odwrotnie: — sądzę, że niewłaściwem byłoby wyciągać ujemne konsekwencje w stosunku do człowieka, który czynem swym zasłużył się ornitologji. Chcę poprostu podkreślić ten fakt, jako jaskrawy wypadek konfliktu „papieru i kniei"!

Wszakże nieżyciowość postanowień naszego prawa łowieckiego o ochronie ptaków drapieżnych jest tylko fragmentem — jak powiedziałem na wstępie — niewspółmierności niektórych postanowień tego prawa z życiem realnem. Fragmentów takich możnaby przytoczyć więcej. Dziś chcę poruszyć jeden jeszcze fragment, zdaniem mojem, znacznie donioślejszy, niż kwestja nieżyciowości ustawowej ochrony ptaków drapieżnych w jej obecnem ujęciu. Problem ten, jak się rzekło — doniosły — zastanawiał mnie oddawna. Nie rozwodziłem się jednak nad nim dotychczas, gdyż oczekiwałem ukazania się dawno zapowiedzianych nowych przepisów o wykroczeniach administracyjnych w nadziei, że te nowe przepisy usuną pewne niejasności w sferze karania administracyjnego. Dziś (od 1 września r. b.) już obowiązuje nowe prawo o wykroczeniach z dnia 11 lipca 1932 r.

*) Art.: „Papier i knieja" — „Łowiec Polski" Nr. 5.

Właśnie ukazanie się tego prawa skłoniło mnie do skreślenia kilku uwag poniższych.

Jak wiadomo ukaranie za cały szereg wykroczeń łowieckich przewidzianych w art. 77—79 prawa łowieckiego, pociąga za sobą obligatoryjne pozbawienie ukaranego karty łowieckiej. Zakaz wydania karty łowieckiej takiej osobie trwa przytem długie 5 lat. Ustawodawca wychodził tu z zasadniczo b. słusznego założenia, że wykroczenia łowieckie, o których mówią art. 77—79 (polowanie na zwierzęta rzadkie, polowanie sposobami niedozwolonymi, polowanie w czasie ochronnym), są to przestępstwa tak poważne i dla łowiectwa tak szkodliwe, że samo wymierzenie kary administracyjnej nie wystarcza: — należy nadto na czas pewien unieszkodliwić skazanego przez pozbawienie go karty łowieckiej... Założenie, powtarzam, słuszne, lecz ustawodawca — wyrażając się potocznie — przeholował, nakładając na władzę obowiązek pozbawienia ukaranego karty łowieckiej, t. j. nie pozostawiając tej sprawy uznaniu tej władzy, jak to np. uczynił w stosunku do ukaranych z art. 75 i 76 (porównaj brzmienie art. 28 z brzmieniem art. 29; w pierwszym z tych artykułów użyto wyrazów: — „należy odmówić", w drugim — „można odmówić").

Jakież są skutki takiego bezwzględnego stanowiska naszej ustawy łowieckiej?

Osobnik, który ze złej woli zabije łosia, lub z premedytacją złapie kuropatwę w sidła, lub świadomie zapoluje na zające przed końcem czasu ochronnego, zostanie — 1° ukarany grzywną i aresztem, 2° pozbawiony conajmniej na lat 5 karty łowieckiej. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto ten stan rzeczy będzie się całkowicie pokrywał z naszem poczuciem słuszności i sprawiedliwości. Lecz i tu czasem przyjdzie nam do głowy refleksja, czy w każdym wypadku celowem będzie pozbawiać aż na 5 lat karty łowieckiej, a więc i możności legalnego polowania myśliwego, który indywidualnie rokuje skruchę i poprawę? Który dopuścił się raz jeden grzechu, lecz więcej grzeszyć nie będzie?...

Znacznie gorsze są konsekwencje tego drakońskiego przepisu w stosunku do myśliwego, który popełnił wykroczenie łowieckie przypadkowo, nieumyślnie. Znane mi są osobiście autentyczne wypadki z lat ostatnich, gdy kulturalny skądinąd myśliwy zabija przypadkowo cieciorkę zamiast cietrzewia, kozę zamiast kozła, lub np. w najlepszej wierze rozpoczyna polowanie na zające w ostatnim dniu trwania czasu ochronnego. Czytelnik nieobeznany z arkanami naszego prawa karnego, obruszy się na moje słowa i powie: — jakto? — skoro niema winy umyślnej, a tylko przypadek, więc niema i przestępstwa, a co ipso niema i kary z jej wszelkiemi skutkami! Niestety, tak nie jest. Tylko nieumyślne zbrodnie i występki (i to nie zawsze) są wolne od kary, nigdy zaś — wykroczenia. Przestępstwa łowieckie są wykroczeniami, a odpowiedzialność za wykroczenie w myśl art. 4 prawa o wykroczeniach z dnia 11 lipca 1932 r. „zachodzi w razie popełnienia go bądź z winy umyślnej, bądź nieumyślnej, jeżeli przepis szczególny nie stanowi inaczej". „Przepis szczególny", t. j. w danym razie — prawo łowieckie nic nie stanowi w tej materji i przeto nieumyślne wykroczenie łowieckie jest zasadniczo tak samo karalne, jak wykroczenie umyślne. Starosta mając przed sobą myśliwego obwinionego o wykroczenie nieumyślne może mu karę złagodzić, wymierzając karę niewielkiej grzywny (art. 9 prawa o wykroczeniach), lecz nie będąc w stanie — wbrew logice i faktom — negować popełnienia przestępstwa (nieumyślnego) nie może go zwolnić od kary. A o to tylko chodzi! Bo czy kara będzie wynosiła pięćset złotych grzywny i sześć tygodni aresztu, czy tylko jedną złotówkę — będzie to zawsze kara z jej dotkliwym, a nieuniknionym skutkiem: odebraniem karty łowieckiej.

Jak wyżej powiedziano — zastanawiałem się oddawna nad poruszonym problemem. I nietylko zastanawiałem się, lecz również obsewowałem jego objawy w praktyce *). Otóż w praktyce sprawa nie przedstawia się, o ile mi wiadomo zbyt tragicznie. Nurt życia może i powinien być regulowany przepisami prawa, lecz prawo nie może bezkarnie nurtu tego tamować. Nieodpowiednie, nieżyciowe tamowanie nurtu, sprawi tylko tyle, że nurt znajdzie sobie boczną wyrwę w tamie i będzie się przez tę wyrwę toczył kpiąc z wszelkich nieżyciowych reguł. Lecz tu właśnie tkwi główne niebezpieczeństwo nieżyciowego przepisu: staje się on zlekceważony, ośmieszony, podważony — ze szkodą dla powagi prawa i poczucia praworządności u obywateli.

Z własnych obserwacyj zanotowałem dwa dość ciekawe sposoby obejścia surowego przepisu.

Pierwszy polega na tem, że gdy prawidłowemu myśliwemu zdarzy się mimowolny, a przykry wypadek zabicia np. cieciorkę w czasie ochronnym, tedy władze — jeżeli są na miejscu — przymykają oczy, jeżeli zaś niema ich na miejscu — to wogóle o niczem nie wiedzą. Natomiast występuje t. zw. czynnik obywatelsko - społeczny w osobie bądź delegata łowieckiego, bądź członka towarzystwa łowieckiego i „czynnik" ten ściąga od niefortunnego myśliwego „dobrowolną" ofiarę pieniężną na rzecz towarzystwa łowieckiego, na fundusz walki z kłusownictwem lub t. p. pożyteczny cel. Wysokość ofiary waha się — w zależności od warunków „przestępstwa" i zamożności sprawcy — od kilku do kilkuset złotych... Sposób ten jest ze społeczno - łowieckiego punktu widzenia nader pożyteczny, gdyż 1° zasila ziejące pustkami kasy towarzystw ideowo-łowieckich, 2° działa pedagogicznie i dydaktycznie na naszą brać myśliwską. Ale z prawno - państwowego punktu widzenia jest to jednak jeden ze sposobów wykręcenia się sianem od kary — jeden ze środków zlekceważenia przepisu prawnego.

Drugi sposób jest nieco odmienny. Mimowolny przestępca zostaje pociągnięty do odpowiedzialności i jest stawiony w charakterze obwinionego przed oblicze starosty. Starosta ma do rozwiązania dylemat: albo prawidłowego naogół myśliwego, nieraz człowieka zasłużonego dla łowiectwa skazać na

*) „Prawo o wykroczeniach" jest wprawdzie nowością, lecz cytowany przezemnie art. 4 tego prawa, powtarza prawie dosłownie zasadę art. 48, ustęp ostatni uchylonego Kodeksu Karnego, który obowiązywał w b. zaborze rosyjskim do dnia 1 września r. b. Przepis ten miał przytem zastosowanie w postępowaniu karno - administracyjnem.

grzywnę i w konsekwencji pozbawić go na lat 5 karty łowieckiej, (gdy tylu zawodowych brakonjerów unika kary!), albo — wbrew wyraźnym przepisom prawa, wbrew logice i faktom — wydać orzeczenie uniewinniające. Starosta wybiera zwykle drugie wyjście i jakkolwiek postępuje życiowo, to jednak formalnie popełnia bezprawie.

Drugi sposób jest z wielu względów, gorszy od pierwszego. Choćby z tej jednej racji, że zwykle przy tym sposobie sprawca unika „dobrowlnej" ofiary pieniężnej na cele łowieckie i przeto zarówno łowiectwo, jak i poczucie sprawiedliwości tracą ekwiwalent gotówkowy naruszenia porządku prawnego... Oba sposoby mają wszelako jedną wspólną cechę:— są obejściem wyraźnego przepisu prawa.

Jeden wniosek nasuwa się ze wszystkiego co wyżej powiedziałem. Najbliższa nowelizacja prawa łowieckiego powinna postanowić, że wszystkie lub conajmniej niektóre (mianowicie — cięższe) wykroczenia łowieckie będą karalne tylko w razie popełnienia ich z winy umyślnej.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.



CZERWONE TROFEA.

Dowód ze świadków nie jest dowodem bezwzględnym, gdyż pamięć ludzka z biegiem czasu zaciera się i nie potrafi dokładnie odtworzyć zdarzeń i zjawisk, ponieważ... Dowód ze świadków nie jest dowodem bezwzględnym...

Dowód ze świadków... Dowód ze świadków...

A, pal djabli, to wszystko!

Nie jestem w stanie skupić dziś myśli!

Siedzę przy biurku i mówiąc żargonem akademickim, usiłuję wkuwać. Przede mną leży tom procesu karnego, którego tajniki staram się zgłębić.

Ale, jakoś mi dzisiaj nie idzie. Utknąłem na „dowodzie z świadków" i bezmyślnie czytam początkowe wiersze, podczas, gdy myśl błądzi w krainie dalekich wspomnień.

Właśnie ta pamięć, która „z biegiem czasu zaciera się" z uporem i drobiazgowością odtwarza dziś, dawne minione sceny, maluje jaskrawo przed oczami obrazy, które zdawałoby się odległość czasu powinna całkowicie zatrzeć.

Trudno, ale nie jestem dziś nastrojony naukowo!

Fala wspomnień niepowstrzymanym potokiem wlewa mi się do mózgu i duszę moją unosi od bytu realnego, do krainy fantastycznej i pełnej tajemniczości, do krainy odległych, błogich przeżyć, — przeżyć wrażliwej duszy chłopięcej.

Siła wspomnień potrafiła mnie wyrwać z tego, co jest, a przenieść do tego, co było. Potrafiła mnie przenieść z mego poddasza, z hałasu wielkomiejskiego, warkotu motorów, wrzasku syren i trąbek, zgrzytu tramwaji — do ciszy leśnej, do zagajników i mszarów, zasypiających spokojnie, późną jesienią.

Otoczony mgławicą wspomnień, siedzę w swoim pokoiku i patrzę na miljony światełek, które to bezładną gromadą, to znowu symetrycznemi szpalerami, znacząc bieg ulic, drżą i mrugają w ciemności listopadowego wieczoru.

Drobny, jesienny deszcz dzwoni monotonnie po blaszanych rynnach kamienicy.

Nie, dzisiaj pracować nie mogę! Czuję jakąś nieprzepartą chęć pogwarzenia z wami, towarzyszemyśliwi, czuję potrzebę rozwinięcia wstęgi swoich wspomnień przed waszymi oczami.

A więc — słuchajcie!

Było to w parę tygodni po wypędzeniu bolszewików. Zaledwie przebrzmiały echa strzałów armatnich i eksplozji granatów, zaledwie ucichło terkotanie kulomiotów, a chociaż dopiero smyk trzynastoletni, nie mogłem dłużej patrzeć na wiszącą bezczynnie dubeltówkę, odkopaną przed paru dniami.

Wprawdzie po lasach kryły się jeszcze podobno bandy odciętych bolszewików, i tu i owdzie natrafiano na dymiące jeszcze ogniska, opuszczone w pośpiechu przez czerwonych gości, jednak trawiony gorączką myśliwską nie mogłem, już dłużej usiedzieć w domu. Dużo mię kosztowało wyjednanie pozwolenia u matki, która początkowo słuchać nie chciała o moich planach łowieckich, gdyż wierzyła święcie, iż dokoła naszego folwarku snują się jeszcze całe hordy bolszewików. Lecz dyplomatyczne moje zabiegi a przedewszystkiem interwencja starego Mikołajki, osoby bardzo wpływowej, potrafiły wreszcie zmiękczyć matczyne serce.

Mikołajko było to, coś pomiędzy rządcą, ekonomem, a leśnikiem. A właściwie, krótko mówiąc była to persona od wszystkiego. Od śmierci ojca on prowadził cały folwark, gdyż matka ze względu na poważny wiek nie wtrącała się prawie do gospodarstwa.

Otóż Mikołajko zdołał wreszcie przekonać matkę, iż osobie mojej nie będzie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Tak my jutro rano, tylko za park wyjdziem, na godzinkę — upewniał Mikołajko. A może nawet i w parku znajdziem, bo wczoraj stróż mówił, co w altance nocował. A kozioł to, wielki, wielki, większy będzie od konia i rogi, to powiada by krzaki bzu na łbie sterczą! — łgał Mikołajko bez zająknienia.

W każdym razie rezultat był taki, że pozwolenie uzyskałem i następnego dnia ledwo szary, jesienny poranek wdarł się przez okno do mego pokoju, Mikołajko już gotów do drogi budził mię i przynaglał do wstawania.

— Paniczu proszę wstawać a to dzień biały i rosa zejdzie, tak psu ciężko będzie gonić!

Nie potrzeba mi było dwa razy tego powtarzać. Za kilka chwil ubrany, już całkowicie z pośpiechem przełykałem śniadanie, bez którego stara Marysia, stanowczo nie chciała mię puścić.

Czarna, jesienna noc odeszła, już wolnym krokiem. Lecz szary welon mroków, spływając z jej ramion ciągnął się jeszcze po ziemi, bladł jednak i rozwiewał, nasiąkając światłem budzącego się dnia.

W jadalnym pokoju, staroświeckie meble, przykryte jeszcze pokrowcami nocnych cieni, przybierają jakieś fantastyczne kształty. Cisza jakaś dziwna, cisza senna, w której mimowoli mówi się półgłosem snuła po całym domu. Przez szyby okien wyraźnie, już było widać na mlecznym tle nieba siatkę z gałązek starej gruszy. Różowa, drgająca smuga światła padała na podłogę, przez otwarte drzwiczki pieca. Przy akompanjamencie gderania starowiny na temat „zwarjowanych" polowań po nocy, szybko zjadłem śniadanie i przerzuciwszy przez plecy strzelbę wybiegłem na podwórze.

Przy bramie wjazdowej stał już Mikołajko i z uroczystą miną wiercił coś w zamku swojej niemiłosiernie długiej „Berdanki". Ubrany był, jak zwykle do polowania. W łapciach, biało-szarych samodziałowych portkach, kurtce nieokreślonego koloru i kroju, przepasany zwykłym, pospolitym postronkiem (bo przynosi podobno szczęście), z torbą skórzaną przez plecy, której klapa przypominała arcydzieło mozaiki, gdyż była zeszyta z pasków skóry, należących do rozmaitej maści cielaków; no i wreszcie ozdobą wszystkiego był kapelusz. Kapelusz, jak wiemy, normalnie jest okryciem głowy, tak jednak nie było.

Kapelusz Mikołajki, to była część składowa jego osoby, to była nierozerwalna całość jego postaci, to był rys, który wyróżniał go z pomiędzy tysiąca ludzi. Kapelusz Mikołajki spełniał tę rolę, jaką spełnia nos, oczy lub wąsy nadając twarzy ludzkiej specjalnego wyrazu.

Nigdy nie mogłem sobie wyobrazić Mikołajkę bez jego kapelusza, albo jego kapelusz sterczący z tą swoistą fantazją na innej głowie.

Kiedyś był to kapelusz koloru... bo ja wiem, chyba zielonego, a zresztą może i kanarkowy, dziś w każdym razie był, już barwy nijakiej, o szerokich polach podwiniętych fantazyjnie z kilku stron. Skąd wywodził swe pochodzenie — nie wiem. Może to był kapelusz argentyński, może tyrolski, a bardzo możliwe, że mojej babci z czasów panieńskich. Jeżeli dodam, że z pod tego muzealnego zabytku wynurzała się twarza o oczach przejrzystego błękitu — trochę może o chytrem spojrzeniu, ujęta w baki kończące się wiechami wąsów koloru lisiej kity, przekreślona blizną przez lewy policzek, to będziecie mieli całkowity obraz Mikołajki.

Gdy zbliżyłem się szybkim krokiem do niego, ukończył właśnie zabiegi rusznikarskie i przywitał mnie roześnianym, dziecinnym prawie wzrokiem, swoich wyblakłych oczu.

Nu paniczu, musowie, jutro będziem jedli koźlinę na obiad — odezwał się Mikołajko. W sosnowym uroczysku, tak kozły skaczą, jak pchły po śpinie Burka!

Wiedziałem wprawdzie dobrze, że Mikołajko łgał zawsze niemożliwie, jednak chłopięca fantazja rozpalona łowiecką namiętnością widziała już dziesiątki rogaczy rwących susami pod same lufy.

A zresztą przyznajcie się szczerze, czyż i wy, koledzy - myśliwi, chętnem uchem nie słuchacie przed polowaniem owych zapewnień o „chmarach kaczek", „stadach zajęcy", „miljonach kuropatw"?! Czy i wy nie zaczynacie podświadomie wierzyć w owe opowiadania? Czyż i wy — ludzie poważni i stateczni nie robicie się dziećmi, u których bezgraniczna fantazja maluje obrazy niebywałych sukcesów łowieckich, fantazja podsycona ową potężną siłą — nadzieją, matką... myśliwych?! Przyznajcie się szczerze, czyż tak nie jest?

Otóż i ja pełen najlepszych nadziei, podnieceny oczekiwaną przygodą przynaglałem Mikołajkę do wymarszu.

Podniecenie moje udzieliło się widać i trzeciemu towarzyszowi naszej wyprawy, Burkowi, który skomląc żałośnie skakał mi na piersi, jakgdyby chciał mnie prędzej wypchnąć z dziedzińca w pole. Był to gończak niepokaźny, przypominający zwykłego kundla, czarny z bronzową kamizelką, fantazyjnie zakręconym ogonem i trochę krzywemi łapami. Był jednak nieocenionym na kozła, gdyż bywały wypadki, iż potrafił od świtu do wieczora gonić jednego kozła.

I tak, więc z dreszczem oczekiwanych rozkoszy łowieckich marząc, my po ludzku, Burek po psiemu wyszliśmy na drogę.

Tuż za bramą droga skręcała w prawo i szarą taśmą, przeciętą równoległemi rowkami kolein, biegła w łagodnych zakrętach przez pole, ginąc w odległej ścianie lasu. Melancholijna cisza jesiennego poranka, przepojona jakimś nieokreślonym smutkiem, panowała wszędzie. Smutnem zdawało się niebo zawleczone szarą płachtą nisko wiszących nieruchomych chmur. Smutne zdawały się pola pokryte żałobną szatą, szarych ściernisk.

Hen, daleko, biegły bronzowe chodniki zagonów po gryce, czerniały pasy świeżo zoranej ziemi.

Jakiś smętek wlókł się po tych opuszczonych polach, jakaś tęsknota wiała od tej ziemi zasypiającej jesiennym snem. Nieruchoma toń jeziorka pod lasem przesłonięta mlecznym oparem mgły, wyglądała, jak oko zmętniałe łzami.

Smutnem zdawało się niebo i ziemia.

Smutek ten jednak, jaki budzi jesień, jaki wieje z pól i lasów, jaki rodzi się w naszej duszy — ma w sobie, coś błogiego. Smutek ten każe myśleć o tem, co było, rodzi w nas jakieś pragnienia nieokreślone

W bezgranicznej ciszy jesiennego dnia, brzmi przecież jakaś melodja nieuchwytna, brzmi jakaś przecudna symfonja, jakaś przedziwna kołysanka, która usypia przyrodę. Tę muzykę jesienną lasów, mszarów i pól, te dźwięki jakie wyczarowuje cisza jesienna, zna każdy myśliwy, bo serce myśliwego bije w takt z przyrodą.

A serce moje wówczas, jako chłopca trzynastoletniego, przecież było takie wrażliwe na piękno! Nic, więc też dziwnego, że wchłaniałem w siebie ten melancholijny czar usypiającej ziemi, że błądziłem rozmodlonym wzrokiem po falistej szarzyźnie pól.

Niepostrzeżenie droga skręciła w lewo. Pola zostały za nami. Przed nami, zaś stał wysokopienny sosnowy bór. I tu panowała wszechwładna cisza.

Las stał wyniosły, milczący, jakiś dostojny i wspaniały w swej zadumie. Sina mgła pełzała między drzewami, splatała się z panującym w borze mrokiem, łączyła konary z podszyciem lasu zacierając sylwetki poszczególnych drzew. Patrząc z daleka las wyglądał jak wstęga granatowa podkreślona u spodu białym pasmem mgły.

Ciszę królującą dokoła przerywało, od czasu do czasu, gdzieś w głębi boru, przeciągłe nawoływanie się dziewcząt, zbierający widocznie rydze.

Hannooo...! rozbrzmiewał przeciągle przytłumiony odległością, wysoki kobiecy głos.

Hannooo... — podchwytywało echo i odbijając od sosny do sosny, niosło ten głos po całym borze.

Echo zrazu wyraźne cichło stopniowo, płynęło w głąb lasu oddalając się i słabnąc, aż zamierało zupełnie, roztopione w ciszy leśnej. Zaledwie jednak zapanował spokój w sennym, drzemiącym borze, zrywała się, gdzieś jeszcze dalej zduszona gęstwiną leśną odpowiedź:

Hop, hooop!

Te dwa nawołujące się głosy, odbijające się wśród kolumnaty pni wyniosłych, zdawały się być echem jeden drugiego. Ale, słuchanie tego dziwnego duetu przerwał mi Mikołajko rozwiewając za jednym zamachem czar pieśni leśnych boginek.

C. d. n. ST. PACEWICZ.



„W O J T E K".

W 1910 r. tak pokierowałem mojemi sprawami, że posiadając dobrego zastępcę, mogłem pozwolić sobie śmiało na miesięczny wrześniowy urlop, by móc go spędzić wraz z moją żoną i dziećmi w Kaliskiem na wsi u krewnych żony, którzy nas do siebie serdecznie zaprosili, a już mnie oczywiście, jako myśliwego — koniecznie z psem i dubeltówką. Tym więc sposobem, dostałem się do istnego dla mnie myśliwskiego raju, oddawna bowiem słynęło Kaliskie ze swego świetnego, a różnorodnego zwierzostanu, gdyż wszelkiej zwierzyny po polach, wodach i w lasach było tam w wielu majątkach bardzo dużo, większe bowiem tamtejsze ziemskie posiadłości graniczyły prawie jeszcze z sobą, a już dla tego samego mógł ich zwierzostan być o wiele lepszy, aniżeli w okolicach innych, gdzie parcelacja niejedną większą własność porozdrabiała na cząstki pomiędzy włościan. Pozatem jakość gleby w Kaliskiem i jej kultura, również wszelkiemu zwierzostanowi wielce sprzyjały.

Najpierw zajechaliśmy w gościnę do miłego staruszka, a wuja mej żony, który doczekać się formalnie już nie mógł naszego przyjazdu, choć daliśmy mu znać zawczasu, że dopiero na pierwszego września zawitamy do niego, gdzie też miałem zabawić choćby przez cały mój urlop, na co mnie zacny staruszek zapraszał, odgrażając się zgóry, że mnie nie puści, żona zaś z dziećmi zamierzała po kilkodniowym tam pobycie wyjechać dalej do swego kuzynostwa, gdzie również planowałem spędzić koniec mego urlopu. Nasz przyjazd bardzo staruszka ucieszył, jak wogóle

zawsze, gdy kiedykolwiek kto u niego gościł. Miłych pogawędek było też bez liku i zaraz naturalnie wjechaliśmy na ulubiony temat myśliwski, a choć staruszek, sam, prawie że nigdy nie polował, to jednak znał się wybornie na rożnem myśliwstwie, a już radowało go specjalnie, gdy jaki miły mu myśliwy zajechał do niego i gdy mógł go podwozić czy na różnorodne ptactwo, czy też zające i króliki, czy na rogacze, znał bowiem dobrze swe polne i leśne rewiry i wiedział jaknajlepiej, gdzie czego na pewniaka należy szukać.

Cudownie pogodny i ciepły początek września rokował mi nielada myśliwską rozrywkę i oczywiście kochany staruszek miał już zgóry ułożony plan na dzień następny, obiecując podwieść mnie po rychłem pierwszem śniadaniu, gdy tylko rosa obeschnie, na „sławne" polowanie na kuropatwy, gdzie ich, jak zapowiedział, była moc niezliczona, po południu zaś, nad wieczorem — mieliśmy się wybrać na „niezawodnego" rogacza. Na ten też temat zagawędziliśmy się do późna, a że żona wraz z dziećmi już dawno udała się na spoczynek, trzeba więc było i nam również pomyśleć o nim, by dobrze wypocząć po podróży i należycie się wyspać, gdyż to, wedle teorji staruszka, było jednym z ważniejszych warunków dla każdego myśliwego, ażeby mu się następnie dobrze strzelało i ręka mogła być pewna.

Zarekwirował mnie oczywiście staruszek na noc do swego sypialnego pokoju, pod pretekstem potrzeby bardzo wczesnego wstania na polowanie, a choć o tym rychłym, a potrzebnym mi spoczynku co moment wspominał, to jednak po małej chwili znowu mu, lub mnie coś niecoś się przypomniało z mającej się odbyć jutrzejszej wyprawy i znowu rozpoczynała się na dobre dalsza nasza pogawędka, aż wreszcie, dość już późno, sen nas zmorzył, by nazajutrz już godz. 7 rano przebudzić się, o tej bowiem godzinie przynoszono zwykle staruszkowi do łóżka szklankę gorącej herbaty. Dla towarzystwa i ja swoją wypić musiałem, nic bowiem, wedle niego lepiej żołądka w należytej sprawności nie utrzymuje, jak właśnie ów chiński napar — wypity naczczo!

Po wczesnem pierwszem śniadaniu, gdy rosa obeschła, podwiózł mnie staruszek w pole na t. zw. „rudunek", znajdujący się pomiędzy lasami, gdzie w młodym 4 — 5 letnim, dobrze podszytym i zwartym zagajniku, oraz przylegających doń kartoflanych polach, rzeczywiście natrafiłem na kilka wielkich stad kuropatw i dwa stadka bażantów, a że mój poczciwy gordonseter „Tumry" sprawował się świetnie, po niespełna więc 2 godzinach, dźwigał już przydany mi chłopiec 34 kuropatwy i 7 młodych bażancich kogutów; aż w końcu zabrakło mi naboi i z żalem musiałem zejść z pola, w dodatku z pośród dobrze porozbijanych w kartoflach i zagajach kur. W powrotnej drodze natknęliśmy się na staruszka, który słysząc rozlegającą się od lasu gęstą kanonadę, wybrał się bryczką do mnie, by przywieźć mi, na wszelki wypadek paczkę naboi, zgóry bowiem przewidywał, że mi ich tam zabraknie. Choć żal mi nieco było owych porozbijanych już wybornie kur, powróciłem jednak chętnie wraz z nim do domu, gdyż coraz większy skwar uczciwie mi już dokuczył, a nie mniej i memu chłopcu, obarczonemu tak poważnym na trokach ciężarem, a również i memu Tumremu, gdyż od tego terenu, gdzie tak wojowałem, było dość daleko do sąsiedniego strumienia. Z prawdziwą też przyjemnością wsiadłem do bryczki, by za chwilę znaleźć się w chłodnym i miłym mi dworku kochanego staruszka, który mnie na początek mego tam pobytu, tego rodzaju wspaniałą myśliwską ucztą tak godnie uraczył!

Musiałem mu też w domu zdać jaknajdokładniejszą relację, jak to tam w polu tem było, jak pies się sprawował i t. d. i t. d., gdyż wielce go to wszystko zazwyczaj interesowało. Do opowiadania było wprawdzie niewiele, a że dość pracowicie i pomyślnie cudowny ten ranek spędziłem, dowodziły tego aż nazbyt dobrze — godnie obciążone troki.



Latem na Jasiołdzie. Fot. J. Berbeko.

„Po południu, nad wieczorem, wybieramy się tam znowu" — rzekł mi rozpromieniony staruszek — „lecz już nie na kury, gdyż podwiozę pana na rogacza, których sztuk kilka w tym samym rewirze przebywa i na seradellę przed zachodem słońca wraz z kozami co wieczór, lub niekiedy i później wychodzi, a do którego wygarnąć należy, to już ja panu wskażę. Już je przyzwyczaiłem do widoku mej bryczki, i ręczę, że najlepszego z nich zdobędziemy, o ile on oczywiście wyjdzie i o ile panu oko i broń dopiszą, w co zresztą nie wątpię po owej dzisiejszej rannej masakrze. Ano — niema to, jak młode dobre oko, dobre sprężyste nogi, oraz należyta wprawa!" Oczywiście z prawdziwą radością i niemniejszą wdzięcznością, za tak miłą mi propozycję zgóry kochanemu staruszkowi podziękowałem, gdyż podobna a tak wspaniała gratka, trafiała mi się dość rzadko, w moich bowiem stronach tego rodzaju grubszej zwierzyny nie było wiele, a choć kiedy jaki rogacz i padł, to najczęściej tylko zimową porą na nagankowych polowaniach, a taki, jako bezrogi, nie przedstawiał, jak dla mnie, pożądanej zdobyczy i zazwyczaj bez strzału je przepuszczałem — dając im krzyżyk na drogę.

Ówczesną moją broń, dwunastkę, o zapasowych lufach, t. j. jednej parze śrutowych, a drugiej — na śrut i kulę, zaraz też na ową zapowiedzianą wieczorną wyprawę przygotowałem i wkrótce po obiedzie wybrałem się ze staruszkiem w jego pola i lasy, by nie siedzieć napróżno przy tak cudownej pogodzie w domu, a przed ową wieczorną wyprawą na rogacza, móc się bliżej zapoznać z całym terenem tego dość

wielkiego wówczas i dobrze zagospodarowanego majątku. Był mi on już coprawda dawniej znany, lecz niezupełnie jeszcze dokładnie, choć bowiem bywałem tam już niejednokrotnie na kilku jesiennych i zimowych polowaniach, to jednak teraz, gdy aż przez cały prawie miesiąc miałem tam gościć, zawczasu bliżej zapoznać się chciałem z jego granicami, oraz całym terenem. Objechaliśmy też w około całe te rozległe włości i z niemałem zajęciem wsłuchiwałem się w liczne informacje, wygłaszane przez staruszka w ciągu przejażdżki. Psa mego „Tumrego" zabraliśmy oczywiście z sobą do bryczki, mógł się bowiem łatwo w razie czego przydać. Kręcił on się narazie nieco w naszych nogach i co chwila łeb swój poza krawędź bryczki ciekawie wychylał, lecz nie dziwiłem się temu wielce i nie strofowałem go nawet za to, boć oczywiście co chwila jaki miły wietrzyk od pola go zalatywał i nie mniej go te wszystkie tam cuda interesowały — tak samo, jak i jego pana t. j. — mnie. Niechaj więc i on bliżej się zapozna z owym rajem, do którego nas obydwóch, a tak szczęśliwie, na cały prawie miesiąc los przywiódł! Na tym objeździe zeszedł nam czas nadzwyczaj szybko, było bowiem oczywiście czemu się przypatrywać. Dobrze uprawne pola z piękną okopowizną, jak również obszerne łąki i lasy, radowały mnie — mieszczucha bardzo, a przewidywane z góry myśliwskie rozkosze — aż mnie rozpierały, za co też miłemu i kochanemu staruszkowi niewymownie byłem wdzięczny. Dostać się bowiem kiedykolwiek na czas dłuższy do podobnego myśliwskiego raju — nierzadko było gorącem mojem marzeniem, a tu aż na całe prawie cztery tygodnie do siebie mnie zaprosił!

Podczas tych objazdów, zajechaliśmy wreszcie przed zachodem słońca na ów rudunek, gdzie miałem zapolować na „sławnego", jak miły mi staruszek wspominał — rogacza, który zwykle wychodził z lasu na wąskie przy polnej dróżce poletko żytniska, porośniętego seradellą. Zbliżając się do tego miejsca, zauważyłem już z oddali trzy sztuki sarn, pasące się tuż przy brzegu lasu, staruszek przekonawszy się przez lornetkę, że i rogacz jest pomiędzy niemi, skierował bryczkę na polną dróżkę, wiodącą tuż nad seradellowem polem, a obsadzoną z rzadka staremi, wysokiemi brzozami, dając mi podczas tej jazdy dokładną instrukcję, jak mam wkrótce postąpić. Sarny, niewiele sobie robiąc z przejeżdżającej z nami bryczki, pasły się spokojnie dalej, a my dojechawszy tą dróżką aż do sąsiednich granicznych łąk, nawróciliśmy po niej zaraz z powrotem, przekonawszy się, że więcej sztuk na seradelli chwilowo nie stoi. Był bowiem, wedle słów staruszka i drugi jeszcze „sławny" rogacz, o znacznie piękniejszych rożkach, aniżeli ten, którego widzieliśmy przed chwilą w towarzystwie dwóch kóz. „Widocznie żeruje ten mądrala w innem jakiem miejscu" — rzekł mi staruszek — „trzeba więc zapolować na tego, którego widzieliśmy przed chwilą, gdyż czasu mamy nie wiele i wkrótce nadobre się ściemniać pocznie, gdy słońce zupełnie za borem się skryje". Gdy więc zrównaliśmy się ze stojącemi na seradelli sztukami, kazałem psu przywarować w bryczce, a sam zsunąłem się nieznacznie na ziemię i spokojnie przystanąłem pod rozłożystą, dwupienną, starą brzozą, staruszek zaś jechał sobie najspokojniej i powolusieńko dalej, wymachując przytem z fantazją batem i pokrzykując nawet dość głośno po chłopsku na konie: „wiśta! — ksobie! — ocip! i t. d.", co wedle niego było niby konieczne, ażeby mądre, a ostrożne sarny myślały, że to zwykła chłopska, a niewinna furmanka wlecze się drogą! Sarny, podczas tej sceny pilnie śledziły oddalającą się bryczkę i siedzącego w niej staruszka, który zarazem mocno przytrzymywał mego psa za otok i o ile zauważyłem, to go nawet biczyskiem godnie przez grzbiet przemierzył, gdy mu się wydzierać począł.



Sarny pasły się spokojnie wciąż dalej, a że wschodni wietrzyk wiał od nich prosto w moją stronę, więc zwietrzyć mej obecności nie mogły. Odległość między nami wynosiła około 200 do 250 kroków, a więc było to, jak dla mnie nieco jeszcze za daleko i postanowiłem cierpliwie poczekać, aż podejdą bliżej, gdyż w moją stronę powoli lecz stale się posuwały. Kozioł trzymał się wciąż wtyle za kozami i jakby umyślnie za niemi się ukrywał, co kozły czynią zawsze. Nagle, owe trzy sztuki zaniepokoiły się jakoś i w zgrabnych susach poskoczyły w stronę lasu, przystanąwszy, jakby wystraszone, u samego jego brzegu. Już miałem dzisiejsze polowanie za stracone, sądząc, że sarny na dobre w lesie się skryją. Znowu jednak rozpoczęły spokojnie żerować i ku mnie powoli się zbliżać, a gdy wkrótce podeszły na jakie 120 kroków i rogacz stanął mi dobrze na boku, uniosłem

moją broń i wymierzywszy jaknajstaranniej na komorę — strzeliłem.

Po strzale, kozioł wierzgnął zadem i cała trójka w szalonym pędzie dopadła lasu i w niem się ukryła. Że kozioł był trafiony, byłem tego pewny, lecz widocznie niebyt celnie, gdyż nie padł w ogniu. Zmartwiony podobnem zdarzeniem, rozmyślać zacząłem, jak tu dalej postąpić, gdyż zmrok szybko zapadać zaczął i robiło się coraz ciemniej. Całą moją nadzieję pokładałem teraz jedynie w moim młodym gordonie — Tumrym, który wraz ze staruszkiem wkrótce nadjechał. Rogacz, choć niezbyt celnie trafiony, daleko ujść nie mógł, wziąwszy więc psa na otok, naprowadziłem go na ślad postrzałka, na którym zaczął on raźno wydzierać się naprzód, a wszedłszy w las, doprowadził mnie po kilkudziesięciu krokach, wciąż z nosem przy ziemi, do leżącej nieżywej już sztuki, skomląc i wyszczekując przy niej z wielkiego zadowolenia. Choć szczęśliwe znalezienie ciężko postrzelonej sztuki ucieszyło mnie bardzo, to jednak i owa zmyślność mego Tumrego, jeśli nie więcej, to już napewno nie mniej, tutaj mnie uradowała, a zwłaszcza ta jego nadzwyczajna pewność w tej robocie, ani bowiem na chwilę nie zawahał się, a wydzierał się na wyprężonym mocno otoku wciąż pewnie i sprawnie, choć był to pies jeszcze bardzo młody, bo zaledwie 10-miesięczny. Ponadto miałem go wogóle poraz pierwszy przy tego rodzaju robocie i sarny, jak dotąd, wcale mu jeszcze nie były znane!

C. d. n. EMIL KARNEY.

PIERWSZE POLE MOJEJ NORY.

Kiedy przyniosłem ją do domu, miała 3 miesiące i była bardzo typowym obrazem młodego wyżła: trochę za duży łeb, z dużemi, orzechowemi oczami, w których przez naiwność i roztrzepanie szczenięce przebijała już wtedy inteligencja; łapy duże, niebardzo pasujące do reszty ciała, nieustannie rozjeżdżały się po śliskiej podłodze. Z domownikami zaprzyjaźniła się odrazu, choć specjalny sentyment czuła do matki mojej i służącej Ludwiki. Do mnie odnosiła się z głębokim szacunkiem, i rozumie się, słuchała mnie najwięcej.

W myśl zasady, że tylko na zdrowym podkładzie fizycznym może się oprzeć ostra tresura młodych wyżłów — żywiłem i trenowałem Norę z ogromną starannością. To też prawie dziewięciotygodniowa tresura domowa nie wyczerpała jej nadmiernie.

Z wiosną ćwiczyłem ją w wystawianiu kuropatw w parach, latem wcale nieźle aportowała mi podloty i tłuste, młode dubelty. Aż wreszcie nadszedł upragniony dzień 1-go września!

Zaraz po obeschnięciu rosy poszliśmy w pole (ja i Nora). Jako teren, dla tego pierwszego poważnego występu pupilki, obrałem sześciomorgowe pole buraków, gdzie często spotykałem 2 duże stada.

Od rzeki wiał ku nam orzeźwiający wiatr. Początkowo prowadziłem sukę na długim, polnym otoku; po kilku chwilach przywołałem ją do nogi i puściłem swobodnie. Poszła odrazu krótkim, czujnym galopem. Nos wysoko nad ziemią, ogon gorączkowymi ruchami pracuje w takt biegu. Okłada prawidłowo wszerz rządków. Od czasu do czasu rzuca mi pytające spojrzenie. Odpowiadam na nie zachętą: „Szukaj dalej!!"

W pewnej chwili galop jej staje się jeszcze bardziej nerwowy, zwroty szybsze, ogon miga z nieprawdopodobną szybkością. I nagle kamienieje. Nora zamienia się w posąg. Przed chwilą możnaby ją wziąć za uosobienie ruchu i energji — teraz jest raczej symbolem utajonej siły.

— Stoi: ogon wyprężony w jedną linję z grzbietem, zadnie nogi zda się — wrosły w miękką ziemię, lewa, przednia skurczona, nos — w pół wysokości ciała — celuje w buraki. Chwilę stoimy tak; ja zapatrzony w Norę, a ona w niewidzialną dla mnie zwierzynę.

Spokojnym głosem zaczynam wydawać komendy: „Naprzód — wolno — dobrze — naprzód — wolno Nora — wolno piesku!" Suka na pierwsze słowo drga i poczyna się posuwać z głową do góry wzniesioną, na nogach, które zdają się być zupełnie sztywne; po chwili zaczyna nacierać prędzej, przechodzi w kłus, potem w tropiący galop. Nie odwołuję jej, gdyż rozumiem, że kury wyciekają rządkami ku pobliskiemu zagajnikowi. Nagle Nora rzuca się w bok, okrąża kawał pola i znowu kamienieje. Szybko biegnę ku niej, nie przestając jej napominać i chwalić.

Teraz jestem w najlepszej pozycji, jaka się może trafić polującemu na kuropatwy: kilka metrów przedemną wystawiający pies, a między nami twardo dotrzymujące kury. Postępuję krok naprzód. Z głośnym szumem i furkaniem rwie się duże stado. „Waruj!!" — krzyczę zagłośno i trochę przeraźliwym głosem. Jednocześnie strzelam kolejno do dwóch kur. Jedna pada tuż, przed nosem suki, druga puszcza mi na pożegnanie parę piórek i idzie za stadem.

Mam jednak zwyczaj, polując na ptactwo — od wypadku trzymać w dwu palcach lewej ręki jeden zapasowy ładunek. Temu zawdzięczam, żem się wtedy przed Norą nie skompromitował ostatecznie. — Szybko złamałem strzelbę i do opróżnionych przez eżektory, luf, wsunąłem ów asekuracyjny ładunek. Z „szatańskim uśmiechem" puszczam za ową impertynencką kurą chmurkę śrutu. Widzę, jak parę metrów leci, kurczowo przegięta w krzyżu i pada, na granicy buraków i marchwi.

„Aport!". Nora skwapliwie aportuje mi po kolei obie kuropatwy. Jesteśmy oboje z siebie zadowoleni, a ja czuję prawdziwą wdzięczność do kur, że „były", do ładunków, że strzeliły, i do mojej „Herstalki", że oną drugą kurę na taką odległość „spenetrowała". Potem ptaki do worka i—marsz, aż do chwili, kiedy południowe słońce zapędzi spoconego pana i zdyszanego psa—na zasłużony odpoczynek. W ciągu tych paru godzin upolowaliśmy osiem kur. Jak na młodą sukę i niezbyt doświadczonego myśliwego — to zupełnie dosyć. (Tak przynajmniej twierdził mój stryj, a ja mu wierzę całkowicie).

Tego dnia odpoczywając na „dębowym pagórku", byłem bardzo szczęśliwy.

I ty przecież masz Czytelniku — tę chwilę, kiedy odrzuciwszy zdobycz i broń, wyciągniesz się z rękami pod głową, i jest ci dobrze. U nóg legnie ci wierny pies, który od czasu do czasu wstaje, nosem trąca sznurkowy worek naładowany bezkształtną masą szarych i brunatnych piór — i znów się kładzie. Pysk szeroko otwarty, jęzor wywalony na pół łokcia, a oczy chodzą za twym wzrokiem. Te oczy mnie mówiły: „Aleśmy im Stasieczku bobu zadali — co?" i śmieją się łajdacko — przyjaznym uśmiechem.

Przez następne dni — dzień w dzień mordowaliśmy z Norą po kilka sztuk kur i błotnego ptactwa. Ale wszystko mija, a szkolne wakacje najprędzej. Przyszedł czas wracania do miasta i książek.

Nie chcąc zostawiać Nory bez należytej opieki — zabrałem ją z sobą. Tak więc pierwsze pole mojej suki trwało równo dziesięć dni.

Teraz Nora jest w czwartem polu. Przez wrzesień z. r. zabiłem przed nią koło osiemdziesięciu sztuk rozmaitego ptactwa. Paroletnie doświadczenie łowieckie wyrobiło w niej pewnego rodzaju wdzięczną nonszalancję, w czem jej bardzo „do pyska".

STANISŁAW PLESZCZYŃSKI.



Z polowania w Pieskach. Fot. M. Załęska.

AMUNICJA KULOWA.

Powyższym tematem zajmują się w ostatnim czasie dwa artykuły w „Łowcu Polskim" (Nry: 33 i 34. 1932 r.). Dowód to, że sprawa jest aktualna. Autorzy poważni, wyłuszczają tam swe zapatrywania w przedmiocie i podają typy ładunków, które uważają za najpotrzebniejsze.

Zdaje mi się, że aby sprawę ku realnym torom skierować, trzeba ją zbadać w dwu kierunkach. Najpierw wyrobić sobie zdanie na podstawie, może najlepiej, ogólnej ankiety, co do aktualnej opinji myśliwskiej — które ładunki są najpotrzebniejsze. Polska jest nietylko długa i szeroka, ale ma łowiska, a stąd i zwierzynę, o najrozmaitszych typach — a więc myśliwy ma potrzebę najrozmaitszej kuli. Z drugiej strony jednak, na początek, aby ułatwić realizację własnej amunicji, nie jest wskazana zbytnia jej specjalizacja — bo im więcej gatunków i kalibrów — tem w przecięciu mniejsze danego typu zapotrzebowanie — tem mniejsze widoki na jego zbyt, ma fabryka. Musimy pamiętać, że przy zapoczątkowaniu omawianej produkcji fabryka ma znaczne wkłady na sprawienie odnośnych urządzeń — nowych sztanc, pras, materjałów etc., które to inwestycje dopiero wolno, w miarę zbytu produkcji, amortyzuje — a następnie dopiero może ciągnąć odpowiedni zysk.

Po ustaleniu kwestyj typów najpotrzebniejszych ładunków, potrzeba sobie wyrobić zdanie w jakich ilościach te typy (lub im najwięcej zbliżone) są rocznie przez naszych myśliwych zużywane. Aby ustalić ilościowo (naturalnie tylko w grubem przybliżeniu) to roczne zapotrzebowanie w kraju, sądzę, że najwłaściwszą drogą byłoby zwrócenie się z odnośnem zapytaniem do wszystkich poważniejszych krajowych magazynów broni i amunicji myśliwskiej — a dopiero zesumowanie i przecięcie uzyskanych dat rocznej sprzedaży n. p. z ostatniego trzechlecia, oraz następne zaokrąglenie „in plus" sum tych typów, których zapotrzebowanie rośnie, względnie, które się jednolici, na początek, dałoby nam — względnie fabryce, odnośne wskazania.

Mając w ten sposób przygotowaną sprawę, należałoby się odnieść przez życzliwe łowiectwu władze wojskowe do krajowych fabryk amunicji karabinowej, czy podjęłyby się wyrobu przedmiotowej amunicji kulowej myśliwskiej w ilości rocznej, jak wyżej wypośrodkowanej.

Naturalnie, przedewszystkiem dwa warunki powinnyby te fabryki z góry wziąć sobie za podstawę przy rozważaniu sprawy: 1) Produkcja musi być bezwarunkowo pierwszej klasy jakościowej, a więc na początek przynajmniej nie gorsza od znanych fabryk zagranicznych; 2) amunicja ta nie może być droższa, albo tylko bardzo minimalnie (dla amortyzacji wkładów początkowych) loco fabryka, jak obcokrajowa u swego źródła.

Dopiero gdyby nie udało się łowiectwu uzyskanie własnego krajowego wyrobu doborowej amunicji kulowej, trzeba bez dalszej zwłoki przystąpić do starań poruszonych w cytowanych na początku artykułach — o odpowiednie ułatwienia celne do sprowadzania zagranicznego towaru.

W tym kierunku na pierwszem miejscu stawiam światowego znaczenia fabrykę w Norymberdze: „Rheinisch - Westfälische Sprengstoff - Actien - Gesellschaft. Nünberg", dawniej znaną pod firmą „H. Utendoerfer" — której produktów od przeszło trzech dziesiątek lat używam, i z którą także bezpośrednio byłem w kontakcie, otrzymując od niej gotowość wyroby żądanej przezemnie, a fabryce nawet nieznanej amunicji kulowej, o ile zagwarantuję odbiór pewnej ilości jej, naturalnie tylko pierwszorzędnej jakości.

Powyższe uwagi podaję do rozpatrzenia z prośbą o przedłożenie Szanownemu Wydziałowi Polskiego Związku Stow. Łowieckich. W razie bowiem przychylnym, nie mam nikogo za tak powołanego do przeprowadzenia pertraktacyj odnośnych i spowodowania realizacji przedewszystkiem własnej amunicji kulowej myśliwskiej — jak naszą Centralę.

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

OCENA ŁOWIECKICH TROFEÓW.

(UWAGI KRYTYCZNE PRACY PROF. INŻ. ANT. DYKA P. T. „HODNOCENI LOVECKYCH TROFEI". BRNO 1932).

Z prawdziwą radością studjowałem wyżej wymienioną broszurę, przesłaną mi przez autora za pośrednictwem konsula czeskosłowackiego w Poznaniu D-ra Jaromira Doleżala, doświadczonego i zamiłowanego myśliwego, oddanego całą duszą idei postawienia myśliwstwa krajów słowiańskich na niedoścignionej wyżynie.

Radość moja nie była tylko wynikiem jakichś uczuć wyższej kategorji za mało konkretnych dla sceptyków, ale głębokiego przeświadczenia, że jednakowa t. zn. na stałe przyjęta ocena trofeów łowieckich jest najważniejszym, powiedziałbym podstawowym miernikiem skutków i postępu zabiegów hodowlanych w naszych pięknych i bogatych łowiskach. Wyniki pomiarów poroży każdego roku łowieckiego i ironicznie traktowane przez niektórych kollekcjonerstwo trofeów, dają gospodarzowi łowiska obraz rozwoju zwierzyny i skutków hodowli prowadzonej przez dokarmianie, odświeżanie krwi, regulację stosunku płci i odstrzał selekcyjny.

Praca prof. Dyka przemyślana doskonale i oparta na wynikach tysięcy pomiarów i doświadczeniach wielu wystaw łowieckich, jest nietylko uzupełnieniem i ulepszeniem dotychczas przyjętych metod, ale poza swoją oryginalnością, metodą łatwą i dogodną i przystępną dla każdego myśliwego.

Dotychczas stosowane metody w Austrji hr. Merana, na Węgrzech prof. Nadlera a na międzynarodowej wystawie w Lipsku Nadlera, Biegera i Wilda, mają tę niedogodność, że wymagają ważenia i ksylometrowania, co jest bardzo niepraktyczne i uciążliwe a dla większości myśliwych niemożliwe. Pozatem sposoby te oznaczania wagi mogą być z rozmaitych przyczyn niedokładne i nie budzące zaufania a oprócz tego są one mało uzasadnione przy bardzo różnych i zależnych od okoliczności wahaniach w wysychaniu poroży dochodzących w utracie wagi do $^1/_5$ i wyżej.

Metoda Nadlera przyjmująca się obecnie w Polsce, prócz wyżej przytoczonych niedogodności niezupełnie uzasadnionego ważenia, łączy razem wyniki ścisłego pomiaru z czynnikami pewnych redukcyj i daje w ostateczności jednocyfrowy rezultat, z którego oceniciel trofeum nie może stworzyć sobie prawdziwego i dokładnego obrazu o porożu.

Te wszystkie braki usuwa metoda prof. Dyka, opierająca się wyłącznie na dających się zawsze jednakowo skontrolować wymiarach poroża, ujętych w trzech zasadniczych grupach:

I. Główne punkty pomiarowe — M.
II. Pomocnicze punkty pomiarowe — P.
III. Sędziowskie punkty — S.

I. Główne punkty pomiarowe.

1) W = wysokość liczona od najniższego punktu łodygi do najwyższego.

2) Rg = rozłoga górna t. j. największa poziomo mierzona szerokość poroża zewnętrzna.

3) Rd = rozłoga dolna t. j. w różach, mierzona od zewnętrznego punktu prawej do zewnętrznego punktu lewej róży.

4) O = obwody łodyg w najsłabszem miejscu.

W i Rg oblicza się w cm. t. j. 1 cm = 1 punkt.

Rd i O oblicza się w mm t. j. 1 mm = 1 punkt.

Formułka ta z małemi zmianami dla jeleni, danieli i kozłów t. j. M = W + R — O, może być wypisaną bezpośrednio na tarczy lub na przywieszonej karteczce. Mogą uzupełniać ją zaraz punkty pomocnicze P, składającej się z Or = obwodu Róż i Ok = obwodu korony u jeleni i Dg = długość gałęzi. Punkty S t. j. sędziowskie są oznaczone ściśle co do ilości dla każdego rodzaju zwierza osobno, naturalnie z dokładnym opisem charakterystycznych cech t. j. róże 1 — 6, perły 1 : 1, dojrzałość 1 — 3, kolor 1 — 5, stosunek rozłogi róg do rozłogi łodyg 1 — 3 punktów. Pozatem sędzia może dodać indywidualnie do 10 punktów.

W doskonałej tej pracy i jedynej praktycznej metodzie oceny poroży miałbym tylko jedno zastrzeżenie co do oceny parostków sarnich i to w jednym punkcie, t. j. w pomiarze obwodu łodyg w najcieńszem miejscu pomiędzy ocznem a tylnem rozgałęzieniem.

Już sama zasada tego pomiaru jest mylną. Wychodząc bowiem z założenia, że prawdziwy obraz mierzonego przedmiotu mogą dać tylko pomiary głównych elementów, mierzymy w danym wypadku wysokość łodyg, obwód róż, rozstawę łodyg i długość końców. Dlaczego więc mamy mierzyć obwód łodygi w najcieńszem miejscu pomiędzy ocznem a tylnem rozgałęzieniem, a więc w części poroża drugorzędnej a nie zasadniczy pień poroża, łodygę w miejscu najmniejszego uperlenia, przed jej rozgałęzieniem?

Trudno mi to wytłumaczyć!

Fakt bowiem, że parostki sarnie po kulminacyjnym punkcie rozwoju zwiększają obwód obu pni łodyg z wiekiem rogacza a zmniejszają obwód łodyg od ocznego rozgałęzienia począwszy, może dać w większości wypadków świadomość punktu kulminacji rozwojowej ale nie decydować dużą ilością milimetrów, odpowiadających ilości punktów o piękności i wartości parostków. Powiedziałbym nawet, że dla sędziego myśliwego parostki rogacza po kulminacji rozwoju przedstawiają większą wartość, aniżeli przed tym okresem.

Wobec tego proponowałbym dwa pomiary obwodu łodygi a to: bezpośrednio pod rozgałęzieniem ocznem i w najcieńszem miejscu pomiędzy ocznem a tylnem rozgałęzieniem. Wtedy dopiero średnia arytmetyczna tych dwóch pomiarów da nam obraz grubości łodygi.

Wracając jeszcze do broszury nadmienić muszę, że poza wzorami oceny trofeów jelenich, sarnich, danielich i kozic, bardzo dobrymi rysunkami, zawiera ona w zakończeniu projekty, rady i spostrzeżenia co do wystaw a nawet wzory druków potrzebnych przy urządzaniu pokazów łowieckich.

Jak widać więc z powyższego, broszura ta może i powinna stać się nieodzownym podręcznikiem każdego prawidłowego myśliwego, a metoda uzyskać prawo pierwszeństwa i wyłączności przed innemi dla nas obcemi.

INŻ. STANISŁAW WOSZCZYŃSKI.

ZAWODY MYŚLIWSKIE W RAMACH VII NARODOWYCH ZAWODÓW STRZELECKICH I ŁUCZNICZYCH W POZNANIU W DN. OD 11 DO 18 WRZEŚNIA R. B.

Upoważniony przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich Związek nasz zajął się propagandą i organizacją tegorocznych zawodów myśliwskich o mistrzostwa Polski w Poznaniu.

Z członków naszego zarządu weszli pp.: prezes ppłk. rez. Chłapowski — do Komitetu odznaczeń, skarbnik Henryk Górski został komisarzem zawodów myśliwskich, a sekretarz Włodzimierz Bronikowski wszedł do Komisji eliminacyjnej.

Na terenach wojskowej warowni VII, wybudowała komenda „Strzelca" strzelnicę do rzutków (5 maszyn), która odpowiada wszelkim wymaganiom.

Tuż obok wybudowano strzelnicę kulową dla ruchomego jelenia, która również zadowoliła wszystkich zawodników.

Po strzelaniach seryjnych i kulowych, odbyły się strzelania do rzutków, a mianowicie: 13 b. m. — o mistrzostwo miasta Poznania, w której to konkurencji uzyskali zawodnicy następujace wyniki:

Józef Kiszkurno - 94%.
K. Koschembahr-Łyskowski — 89%.
Goliszewski — 87%.
dyr. Baranowski — 81%.
por. Tobola — 71%.
dr. Ciążyński — 69%.
mistrz miasta Poznania J. Kiszkurno (94 p.);

14 b. m. mistrzostwo Wielkopolski:

J. Kiszkurno — 98%.
K. Koschembahr-Łyskowski — 96%.
dyr. Baranowski — 89%.
por. Tobola — 81%.
dr. Ciążyński — 80%.
Goliszewski — 73%.
mistrzem Wielkopolski został J. Kiszkurno (192 p.);

15 b. m. mistrzostwo Polski:

J. Kiszkurno — 98%,
K. Koschembahr-Łyskowski — 87%,
dr. Ciążyński — 87%,
por. Tobola — 80%,
dyr. Baranowski — 79%,
mistrzem Polski został J. Kiszkurno (290 p.) (wynik 290 p jest rekordem Polski).

I.

Dn. 13, 14, 15 b. m.

Dn. 13, 14, 15 b. m. *strzelanie kulowe* do ruchomego jelenia — dystans 100 mtr. — przebieg 23 metry, 4 sek., — 50 strz.

W konkurencji tej brało udział 15 zawodników z następującym wynikiem:

mistrz miasta Poznania — por. Kazimierz Zalewski (63 p.),
mistrz Wielkopolski — kpt. Stanisław Lewiński (98 p.),
mistrz Polski — kpt. Stanisław Lewiński (166 p.).

II.

Strzelanie do ruchomego jelenia, — strzał podwójny — dublety — dystans 100 mtr. — przeb. 4 sek., 25 dubl.

W konkurencji tej brało udział 4 zawodników z następującym wynikiem:

mistrz miasta Poznania — K. Koschembahr-Łyskowski (58 p.),
mistrz Wielkopolski — K. Koschembahr-Łyskowski (82 p.),
mistrz Polski — dr. J. Ciążyński (114 p.).

18 b. m. wieczorem nastąpiło uroczyste zamknięcie VII Narodowych zawodów strzeleckich przy udziale p. Wojewody poznańskiego, generalicji, komendy Związku strzeleckiego, przedstawicieli miasta i t. d. oraz wręczenie pięknych i cennych nagród zwycięskim zawodnikom.

Zaznaczyć należy, że poziom strzelań myśliwskich był bardzo wysoki, pomimo nielicznego udziału, który przypisać należy cieżkiemu położeniu gospodarczemu, jakie nie pozwala licznym zawodnikom ze względu na wysokie koszta amunicji na branie udziału w zawodach.

Z prawdziwem zadowoleniem stwierdza nasz Związek, że, pomimo tak ciężkich czasów, udało się zgromadzić naszą elitę zawodników i osiągnąć tak piękne rezultaty.

Niechaj nam będzie wolno podziękować na tem miejscu wszystkim PP. Zawodnikom, którzy mimo wyżej wym. trudności, brali udział w tych pięknych zawodach.

ZARZĄD WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

ROZMAITOŚCI

SPADEK CEN W CZECHACH.

Spadek cen, osiąganych za dzierżawy terenów łowieckich w Czechach, zauważony w jesieni roku zeszłego, notowany jest obecnie w całym kraju.

W Niemczech spadek ten jest jeszcze wyraźniejszy — i wynosił w jesieni 1931 r. w Bawarji 50% i wyżej.

Najwyższe ceny osiągano przy wolnych najmach— natomiast przy przetargach publicznych oddawano nieraz tereny poniżej ceny wywoławczej.

Równocześnie daje się zauważyć inne zjawisko. Oto zaprzestano rozdrabniania terenów gminnych, rozpowszechnionego zwłaszcza w latach powojennych, a mającego na celu podnoszenie ogólnej ceny terenu. Obecnie, gdy ilość dzierżawców znacznie się zmniejszyła, ograniczając się do nielicznej garstki ludzi zamożnych, a równocześnie dzierżawa terenu przestała być dla wielu pseudo - myśliwych źródłem zysku wskutek znacznego spadku cen zwierzyny, powrócono znów do łączenia terenów w większe jednostki, bardziej poszukiwane przez racjonalnych myśliwych ze względu na warunki hodowli i planowego odstrzału.

WYWÓZ KUROPATW DO ANGLJI.

Korzystając z pomyślnej konjunktury w Anglji, gdzie cena kuropatwy bitej wynosi obecnie od 2.6 do 3.6 szylingów za sztukę, niektóre firmy polskie, trudniące się wywozem, podjęły ostatnio eksport. W ciągu ubiegłego i bieżącego tygodnia odeszło już kilka większych transportów przez Gdynię statkiem, utrzymującym bezpośrednie połączenie z Londynem.

Przygotowania do dalszego zwiększenia wywozu tego artykułu trwają. Niektóre firmy już obecnie kupują towar w większych ilościach, przechowując go w chłodniach.

BADANIA PSYCHOTECHNICZNE MAŁP.

Profesor psychologji wychowawczej Uniwersytetu Warszawskiego, dr. Baley, rozpoczął z wiosną r. b. badania psychotechniczne małp w ogrodzie zoologicznym w Warszawie, dysponującym 18 gatunkami tych zwierząt.

Badania dotyczyły zdolności odróżniania przedmiotów i wyodrębniania ich, np. przy podawaniu pokarmów na różnego rodzaju podstawkach. Ciekawe rezultaty, w zupełności potwierdzające poprzednie założenia, prof. Baley zreferował na międzynarodowym kongresie psychologicznym, odbytym niedawno w Kopenhadze.

Prof. Baley zamierza rozszerzyć swoje obserwacje w ogrodzie zoologicznym w Warszawie na niedźwiedzie, psy, papugi i kruki.

SPADEK CEN FUTER LISÓW SREBRNYCH.

Zniżka cen futer lisów srebrnych, jaka miała miejsce w sezonie ubiegłym, powstała głównie z tej przyczyny, że rzucono na rynek dużo bardzo lichego materjału, który był zatrzymywany przez osoby, mało orjentujące się w wartości dobrego futra, sugestjonujące się jedynie nazwą „lis srebrzysty". Natomiast dobre futro lisa srebrzystego jest rzadkością i zawsze jest cenne. To też nasi hodowcy, którzy produkują dobry materjał, uzyskiwali przy sprzedaży wysokie ceny, poczynając od 45 i do 110 dolarów za sztukę.

Wskazuje to wyraźnie, iż hodować należy tylko wysoko wartościowy materjał.

HODOWLA NUTRYJ.

Hodowla nutryj rozwija się naogół bardzo pomyślnie. W roku bieżącym mamy wiadomości z zagranicy, że poczynione próby hodowli nutryj w obszernych klatkach dały dobre wyniki. Będziemy więc wkrótce świadkami rozwoju systemu klatkowego w tej hodowli.

Roczny przychówek materjału licencjonowanego wynosi 5.000 sztuk.

FUTRA.

Rozpoczęto przygotowania do sezonu jesiennego, który zapowiada się nieszczególnie. W tej dziedzinie handlu istniał dotychczas kredyt długoterminowy, dochodzący do roku, a nawet dłuższy. Obecnie istnieje tendencja do skrócenia terminów płatności i sprzedaży futer za gotówkę z dużym upustem. Solidnym klijentom udzielane są jednak dogodne warunki kredytowe w stosunku do roku ubiegłego.

Futra wykazują wybitnie zniżkową tendencję cen.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI NA PAŹDZIERNIK.

Przez cały miesiąc polować wolno na jelenie-byki, daniele-byki, sarny-kozły, cietrzewie-koguty, jarząbki, pardwy, kuropatwy, przepiórki, słonki, bataljony, dzikie kaczory, dzikie kaczki oraz inne ptactwo wodne i błotne, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty, dzikie łabędzie, dzikie gęsi, ptaki krukowate i drapieżne.

Od 16 października polować wolno na dzikie indyki-samice, dzikie indyki-samce.

Od 21 października polować na zające-szaraki.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":

„W polu i w lesie" Wł. Gurtlera — 1,00 zł. bez rabatu.

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gurtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) Nad Nilem Niebieskim" — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Skowronek" — 3.60 zł. „Kruk" — 4.50 zł. „Słonka" — 4 zł.

J. W. Kobylański. „O zwierzyńcu w Katowicach" 3 zł., „Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie" 3 zł., „O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie" 1 zł., „O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie" 1,50, „O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie" 1 zł., „Humor i łacina myśliwska" 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) — dolicza się 90 groszy.



Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.